Biblioteka
U.M.K.
Toruń
172022
II
10-283

Figle y Fraszki

przez

Imci Pana Xiby Reya

Gwoli uciesze y zabawie
tego, co czyść będzie.

W Krakowie

FIGLE Y FRASZKI

172022

Wrocki

Figle y Fraszki

satyry

przez

Imci Pana Niby-Reja

(Czesława Wrockiego)

KRAKÓW 1911 ROKU - CZCIONKAMI
DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE.

172 022
II

FIGLE Y FRASZKI.

Nie kupisz Niby-Reja chlebem ani złotem,
Nie przerazisz go wieżą, ani złości grotem.
Chceszli drucha w nim zyszczyć: zawiedź go pod wiechę,
A za figle y kugle szczerym zapłać śmiechem.

DO TYCH, CO CZYŚĆ BĘDĄ...

Ano padło mi tutai kropić polskie głupstwo,
Polską pychę, sobkostwo, polskie duszogubstwo.
Czasy zgoła nie lepsze, jeno gorsze idą:
Rządy Nędzy pod świeżych frazesów egidą.

Owo łotrzyk-dziennikarz dumnie łba zadziera
Y grosiki a laury przed mędrcem w czas zbiera.
Owo klechow rój tyje w lubey z nocą zgodzie —
Pasorzyty na chudem twem ciele, Narodzie! —

Owo łyczek lud strzyże, lichwiarz srodze dusi,
Szynk y karczma, iak drzewiey, y dziś biedę kusi.
Talent głodem przymiera, głupiec zawżdy tyje,
A filister bezczelnie w grzędach ducha ryje!

W polityce ow stary warchoł wciąż rey wodzi,
A z nim łotrzyk-pieczeniarz w zgodzie lubey chodzi.
Sztuka ledwie dziś dyszy w służbie podłej prasy,
Która ducha prasuje y drze z niego pasy.

Surogaty dziś w modzie: chleba y nauki,
Surogaty powietrza, polityki, sztuki;
Fałszowane brylanty, fałszowane stroje,
Fałszowana tyż wiedza, kłamne czynow znoje!

Nieuk w Polszcze prym dzierży, bowiem głośno krzyczy,
Choć wiadomo, że bydle, gdy syte, nie ryczy.
Dulskim zawżdy tu dobrze: nie dla nich kryminał,
Ani w onych tyż godzi opiniey puinał.

Ciebie przeto wyzywam Czytelniku śpiący
Na wyprawę bezkrwawą, — chcącyś czyś nie chcący —
Na boy ducha z twym polskim egoizmem ciasnym,
Ze śpiączką y z lenistwem y z brudem twym własnym.

Z NIBY-REJOWSKĄ KOLĘDĄ

W. R. 1905.

Mam zwierciadło bajeczne, mam błyszczące groty,
Toż mieczyki w głąb sieczne, a prześmieszne psoty
Dla was mości panowie, w Polszcze pasibrzuchy —
Wżdy na wodogłowie chore karaluchy.
Mam leki na łajdactwo panków, klechów, łyków,
Na obłudną dusz cnotę starców, niewiast, smyków.
Mam antidot na manje, lek na zwiędłe mózgi,
Lek przedziwny mospanie: śmiechu giętkie rózgi!
Dla was szpetne bigotki, jezuickie służki,
Wżdy ongi ladacznice, dziś świętości stróżki!
Dla was mnichy plugawe, wielko-brzuszne popy,
Z dusz ciemnoty żyjące, chciwe owiec skopy!
Tyż dla was niewolnicy, miód z niewoli ssące,
W swem lokajstwie przemyślne, władnym tył liżące!
I dla ciebie młodzieży, na uwiąd w czas chora:
Zbudzić ci się nawyższa wżdy lub zginąć pora!
Bierzcież moje zwierciadło, ujrzycie w niem serca,
Może wstyd w nich rozbudzi, ostry śmiech — szyderca.

Plunąłbym wam w pysk wzgardą dla tym większej złości,
Dla mnie wiere uciecha, gdy gniew w was zagości!
Ale wzgarda wam chlebem, przywykliście do niej,
A ciemnota głów waszych tyż was przed nią broni.
Oto widzę was wszytkich w dzień urodzin Pana —
Obżartych, a opitych. Toć dusza pijana
Kłamną wiarę obwieszcza, kłamne miłowanie
I kłamną wiere radość, kłamne serc wylanie.
A jeno szczerą sytość nadzianego brzucha
I strach przed widmem jutra, gdy noc wstaje głucha.

WIEK ZŁOTY.

O! łacno wiek ten złotym znów zwan będzie
Polska na stolcu sowiźralskim siędzie!
Dziś już od cycka dziatki wierszem kwiczą —
Chocia po ojcach worki wszów dziedziczą!
Chocia od głodu brzuchów cale mają,
To ci na szmatkach trawkę babrać znają —
Jeno że inksza od tej, co na łące —
Taka mizerna, jako one brzdące.
Z dziewek co druga, to analfabeta,
Lecz doktorskiego, na łeb chce bereta!
Lud cały zasie zdycha gładko z głodu,
I od plugastwa, chorobów i smrodu!
Jedne dziś popy dawne mają brzuchy,
Mniszki i mnichy — one karaluchy,
Lecz ci też mówią: „Drzewiej lepiej było
Bo się nam łacniej naród z dóbr łupiło!"
O! łacno wiek ten złotym znów zwan będzie —
Polska na stolcu sowiźralskiem siędzie.

O NOWEJ CNOCIE.

Dziś się obyczaj w naszej Polszcze stawa:
Im lepiej kradniesz, tym większa ci sława.
Toż ja Niby-Rej wszem wobec stanowię:
Kradnij, kto żywie w Polszcze a Krakowie!
Wszak za to zyszczesz papieskie tytuły
Na pierś brząkadła (jeźliś dał w szkatuły
One kościelne z kradzionego złota!...),
Szczera cię wtedy wskróś rozjaśni cnota!
Pojmą cię zasie srogie trybunały,
Toś wiere wygrał, dobiegł szczytów chwały:
Będą o tobie pisać wszytkie druki —
Nie gwoli cnocie, jakoż dla nauki,
Lecz wszytkim sprośnym łykom dla zabawy,
Ano dla polskich bohatyrów sławy!...

O DZIWACH WSZELAKICH, A ZGOŁA NA ZIEMI TEY NIEWIDZIANYCH.

Jestli uźrzysz pokornym człeka wżdy małego
Y mądrym opasłego, prawym bogatego,
Szepiołkę niezdradnego, niepsotnych kudłaczy;
Młynarza, który miary zbyt chytrze nie baczy;
Jestli uźrzysz szafarza, któren nie przylicza;
Owo juści młodzianka gładkiego oblicza,
Któren sromieźliwy, białogłów nie łasy;
Y starca, co nie mlaska, zwąchawszy frykasy,
Sowiźrała smutnego, prawdomówcę kupca,
Przekupkę nieswarliwą, milczącego głupca;
Chudego y biednego jestli uźrzysz klechę,
Skarbnika, co grosz skarbu nie znasza pod wiechę,
Y dziada niewszawego, niezdradliwą żonę,
Y pannę niełakomą na duby smolone;
Magnata, co się krząta *pro publico bono*,
Palestranta nie krętą słynnego obroną.
Y zacnych obyczajów, a sytego człeka;
Toż psa, co na księżyc z swej budy nie szczeka;

Y kota, któren w marcu nie miauczy tęskliwie,
Toż poetę wielkiego, co w dostatkach żywie,
Polityka, co wzgardził machiawelską sztuką,
Ano kruka, co wykłuł oczy inkszym krukom;
Jestli uźrzysz Polaka, któren pańskich zadków
Nie całował, by dostać urzędów, dostatków,
Y Polaka, co nie kradł grosza publicznego,
Ano mnicha od niewiast, wina stroniącego —
Sam tu dawaj te dziwa! A spiję ich zdrowie
Całą beczką — y w rymach ich żywot wysłowię.

SPOSÓB NA BIEDĘ.

Coć rzekę, wierzaj bracie: chceszli być bogaty,
Nie rozum da ci złoto, ani duch rogaty,
Ani boju trud srogi: jeno gładka mowa,
Cześć dla kłamstwa, a szatka na plecach wciąż nowa.

NOWA WIELKOŚĆ.

Chceszli być ninie wielki, długie naszaj włosy
I śluzy rzewne chlipaj, ano piej w niebiosy,
Jako smętek masz w wnętrzu, choć tam para ino,
Szpetnie barzo śmierdząca głupoty stęchliną.

NADLUDZIE.

Wżdy najmodniejsze dziś Parnasu bogi
Co rzą: „Niech zdycha z głodu tłum ubogi!
Myśmy oddali serca rajom Sztuki — —
Zasie wam do nas głodne chleba kruki!"
Ano, nad żłobem, owsa pełnym stoją,
Toż małe serca na ton królów stroją.

MĘDRCE.

Lada kiep ninie mędrca śmiele kroi,
Pluje w świat, w szatkę się półboga stroi.
Poznasz go łacno: grzmiące jego mowy
Ściśnij, a woda wycieknie mu z głowy.

O ZMARŁYCH A ŻYWYCH.

„O zmarłych ino dobrze!“ Więc o żywych snadnie
Co najgorsze, a szpetne zawżdy mówić padnie.

NARODOWA ZABAWA.

A gdy się bawisz bracie, baw się narodowo:
Przywdziej kontusz, rycz „Polska!“... i urżnij sie zdrowo.

DAWAJ!

„Daj królom, co królewskie! Co boskie, daj Bogu!“
Tak każą ci, ledwoś stanął na życiowym progu.
Toż gładko zdychaj z głodu! Bo nic ci o braniu
Wżdy mędrce nie gadają, jeno o dawaniu.

PRAWDA.

Matematyk prawd szuka w rzędzie cyfr po cichu;
Chemik nalazł ją w „związkach“, opoy zaś w kielichu;
Przed ołtarzem pobożniś, modniś w spodni szyku;
Przy zielonym iey szuka gracz chciwy stoliku.
Nie trapże się moy bracie; ile żądz, wżdy tyle
Prawd się włóczy po świecie; nayświętsza tkwi w sile.

GALICYAŃSKI STAROSTA.

Fortelem wżdy podłażąc, ano kadząc możnym,
Wydrapał się y stanął starostą wielmożnym.
Dzisiaj sztywno na szyjej zdobnej w kołnierz złoty
Dzierzy głowę trefioną y plwa w twarz gołoty;
Toż lekce sobie waży ludu wszytkie prawa,
Bowiem order mu pachnie y stupajki sława!
Zabaczył niebożątko, iż ma lichy najem,
Bowiem zawżdy być musi możniejszych lokajem.

LA POMPE FUNÈBRE.
(POGRZEB OKAZAŁY.)

Światła, wieńce, sznur cugow, istna armia klechow,
Gapiow tłumy bezczelne, szum rozmow y śmiechow,
Mowy, śpiewy żałosne, uroczystość wzniosła —
Któżby myślał, że w trumnie wiodą zewłok osła?

CZŁEK DUMNY.

Wżdy miano „d u m n y“ się od „d u m m“ wywodzi.
Spoyrz na dumnego; wszak się z onym godzi.

MODNY KAPELUSZ.

Spojrzyjcie na te głowy: wszakci iako żywo
Można na nich polować lub urządzić żniwo.
Ta wrony na łbie nosi, inksza w wielkiem kole
Gniazdo dźwiga bocianie, iako na stodole.

LUDZKA DOLA.

„Heretyku! Toć na to Bóg ci dał to życie,
Abyś cierpiał! Wieprz żywie przy pełnem korycie!
Ty zaś myślisz o brzuchu, o ziemskiey sytości?“
Tu się zatknął Jegomość, bo szczupak miał ości.
Więc winem tęgiem popił y znów kęs szczupaka
W gębę tkając, rzekł smutnie: „Ludzka dola taka!“.

FARYSY.

Spojrzże na te Farysy! W kawiarniach tlen psuyą,
Ano słowa nadęte, a puste pytlują.
Spoyrz na gęby mizerne, na łby nieczesane,
Na te miny błazeńskie, oczy obłąkane:
Toć krakowskie Farysy! Onan tychże bogiem,
Akademią kawiarnia, praca zasie wrogiem.

PODPORY SPOŁECZNOŚCI.

(Do słow Imci pana Bienkowskiego, Filozofii w Akademiey krakowskiey dziekana, na promocyey sub auspiciis Imperatoris w listopadzie r. 1908 wypowiedzianych).

Na pomnik zasłużyłeś w Polszcze bakałarzu
Toż dufam, że cię onym Polacy obdarzą.
Ale winni też na nim wyryć dla pamięci
Twoje słowa; niech głupstwo wciąż się w Polszcze święci:

„Podporą społeczności ksiądz, żołnierz,
uczony".
A jabych jeszcze przydał: Osły y gawrony!
Zaczem Mości Bienkowski, czynię'ć fundamentem
Społeczności, boć we łbie nosisz osła mentem...

W. FELDMANOWI.

(a propos odpowiedzi jego w „Krytyce" na ataki krytyków jego).

Wszakżeś cale niezgorszą wyhandlował grzędę;
lecz tyś zapiał rozgłośnie: „właśnie wyżej siędę!"
Spadłeś przeto chuchraku. Nie leź za wysoko,
gdy'ć zdarzy się upadek, spadniesz nie głęboko...

SOLSKIEMU.

Lucyny złote laury widno ci pachniały
przetoś wybrał wnet drogę tę samą do chwały.
Byleś jeno co prędzej wyniósł pełny trzosik,
i ostawił następcy także jakiś grosik...

REAL-POLITYK.

Przedawczyków w tey Polszcze zawżdy było wiele,
Zdrayców, ano zaprzańców, jako wszów na ciele.
Jeno drzewiey przedawczyk zwan był przedawczykiem,
Zdrayca — zdraycą; dziś zwie się „real-politykiem“.

NEOPANSLAWISTA.

Ciesz się Polszczo! Przybyłać do twych wielkich domen
Nowa zdobycz aż z Pragi, cale grzeczne nomen:
Miałaś dotąd przeróżnych istów coć ze trzysta,
Nowy ninie ci przybył: neo-panslawista!

CZŁEK PORZĄDNY.

Oto mówią: „porządny człek“; ma kieszeń pełną,
Ano gładki, baranią przyodziany wełną.
Cóż, że dusza hyeny, wytarte sumienie,
Gdy na brzuchu pękatym porządne odzienie!

BIBLIOTEKA W TORUNIU UNIWERSYTECKA

GALICYAŃSKIE GRAFIĄTKO.

Łeb jak dynia na szyjce nad podziw cieniutkiej,
Na grzbiecie, wczas zgarbionym, fraczek modnie krótki,
Nóżki cienkie młodzieńczo, jako dwa badyle,
Zawżdy drgają gotowe na walce, kadryle.
Gęba blada na pamięć przywodzi pinczera
Abo mopsa, wżdy gębać t o d a m e p u z e r a!
Gdy tą główką bezwłosą dumnie w tył pochwieje,
Napewno się z niej woda albo rtęć w świat leje.

DO BRONI!

(R. 1908).

O Polszczo! Gdzież się twoie dawnieysze podziały
Poświęcenia szlacheckie, rycerskie zapały,
Owo groźby okrutne, ano mocne krzyki,
Twoie strachy na lachy, pijane okrzyki?..
Ty milczysz: a tam Serbia zbroi wszy y świnie.
Ty drzemiesz: a tam ostrzą koziki w Cetynie.
Tyś głucha: a tam skrobie się po zadku Jerzy.
Tyś zimna: a tam Turczyn w twe protesty wierzy.
O Polszczo! zali prawda to, że twoie oczy
Zapatrzenie się w własną twoią nędzę
[mroczy?!...
Mości Dmowski! A cóż to?... Skrzyczno rycerzyku
Twoią hordę łachmańców; na polskim koniku,
Przyodzian w ojcow kontusz, bież w sukurs Turczynom,
Owo serbskim obwiesiom, czarnogórskim świniom!
Wszakci bracia to twoi? Wśród nich — Panslawisto —
Będziesz w domu, oczyścisz twą sławę nieczystą!
Mości księże Lampiarzu! Daley z Dmowskim w parę!
Turczyn umie być wdzięcznym: złoto da y harem!
Heiże w drogę wy wszytcy, ktorych mamy dości;
Poiaśnieje w tey polskiey obmierzłey ciemności!

O KLECHACH BRZUCHATYCH, A NIESYTYCH SŁÓW KILKORO.

Patrzcie go, wżdy mu kałdun spuchł cudnie jak beczka;
Ano legła tyż w onym nie jedna owieczka.
Klechy brzuch: strawi mięso, nie wzgardzi tyż runem —
Czart się wieręć upora z niesytym kałdunem.

•

„Niechaj wina miłego grzyszna powsinogo!" —
Radzi klecha. Sam spija małmazyję drogą.
Aże nos mu w purpurach cale grzecznie błyska
I żądza sprosne cielsko lutym dreszczem ściska.

•

Nalazł sobie w post klecha owcę cale grzeczną —
Tęci uczy, jak zyszczyć można chwałę wieczną.
Pacierze w noc z nią klepie, a umacnia w wierze —
Chwali sobie czas postu, wżdy ma mięso świeże...

•

Wilki wiere w baraniej, poświęcanej skórze —
Łacniej skóry im owczej dobrać się w tonzurze.
Władzy zawżdy są głodni, jezuickie sztuki
Śmierdzące w politykę wnoszą chytre kruki.

•

Kapłan każdy z nich biedny. A skądże uciecha
Dla familii, gdy gruby wykopyrtnie klecha?
Owo mieszek im grzeczny, a oborę schludną
Pozostawi, toż w dziatek rój prebendę ludną.

NA WYPADKI JASNO-GÓRSKIE.

Nie to dziwne, ni rzadkie, co się tam zdarzyło
Na Jasnej onej Górze, lecz że uderzyło
Tak mocno polskie serca klęską niespodzianą,
Aż się stało serdeczną narodową raną.
Y w tem widzę, jak mocno jeszcze Polską mota
Naiwna ufność w habit, głupstwo y ciemnota.
Wszak nigdy mnich nie stronił od uciech ni wina,
Y zawżdy go kusiły złoto y dziewczyna;
Y zawżdy krył w swą sakwę odpustowe grosze,
Za pogrzeb, msze, wesele, pełne zbierał kosze.
Nie dajcie wilkom strawy, a wnet niebożęta
Będą ciche y święte, jak słabe jagnięta.
Nie dajcież mnichom złota, a wnet spasłe klechy
Spokornieją y schudną, zbywszy cielsk uciechy.
A najlepiej wyżeńcie precz te tłuste karki,
Używszy portugalskiej, jak na szczury, siarki.

PADEREWSKIEMU.

Uwieczniłeś się wierę grunwaldzkim pomnikiem,
Ale dar twój nie chlebem, jeno smakołykiem.
Tymczasem polskiej nędzy coś innego trzeba,
Oświaty, szkół, kultury powszedniego chleba.
Krakowa'ś nie upiększył zgoła, jako żywo,
Do własnej jeno sławy przydałeś ogniwo.
Pieniędzy'ś nie poskąpił, ani dobrej woli,
Szkoda tylko, że nie wiesz, co dziś Polszczę boli.

NA OBCHÓD GRUNWALDZKI.

O jak owe z perkalu w mieście dekoracye,
Jak pochody y stroje y szumne oracye,
Taką zda mi się ninie polska wiere dusza,
Którą jeno pochodzik narodowy wzrusza.
Zresztą śpi; lecz na szopkę budzi się y stroje
Perkalowe przywdziewa, tekturowe zbroje,
Do boku przypasuje wżdy drewniane miecze,
Y wspomniawszy animusz dawny wkoło siecze,
Przyśpiewując bojowym marszem: „Nie zginęła“ —
Don Kiszota sławetne wykonuje dzieła!
Ale niechaj deszcz spadnie, wnet kłamne brokaty,
Kłamne stroje y zbroje zmienią się na szmaty.
Kłam i frazes bezczelnie, jak ten łachman zwiśnie,
Y jeno w twarz ci wiarę brudną wodą tryśnie.
Rzeczywistość swą nędzną, chorą twarz pokaże
Y huczny nastrój chwili przez noc jedną zmaże.

GALICYJSKI SEJM.

Myślałbyś, że to żywi, tak głośno sejmują,
Że pro bono publico z zapałem gardłują,
Że z tey wrzawy przedniego coś się nam urodzi,
Co dwa bratnie narody wzmocni y pogodzi.
Lecz gdy w larum się wsłuchasz, słowa zważysz mnogie,
Pojrzysz w dusze y w serca niskie y ubogie,
Które każdy, kto zechce, za grosz marny kupi, —
Obleci cię wraz trwoga y smród zgoła trupi.

ROZMYŚLANIE ŻAŁOSNE Z OKAZYIEY DNIA ZADUSZNEGO.

A gdy smętny wesołek wyciągnę kopyta,
Iakaż póidzie za trumną moią białą świta?
Nie obleie jej łzami chmara dziecek, gdowa;
Chyba nędzarz pozdrowi: O nędzo bądź zdrowa!
Nie zawyie mi klecha z krzyżykiem na przedzie;
Chyba mruknie przyjaciel: Szatan niech cię wiedzie!
Któż wypowie oracyę kwiecistą a długą?...
Wszakżem nie był lokaiem stańczyków, ni sługą
Imci Lea, ni łykiem, ani „dymokratą";
Nie ukradłem tysiączkow (chocia stać mnie na to);
Nie byłem profesorem blagi ni tandety
W Akademiey krakowskiej, gdzie smarzą kotlety
Z wycinków dziennikarskich, podlewane sosem
Jezuickim lub truią młodź zgniłym bigosem.
Więc biedny Niby-Reyu! wszytkie twe zasługi
Zginą z tobą bez wieści (iak y twoie długi)!

KRAKÓW.

KRAKÓW.

Miestoci jest w tej Polszcze, Kraków słusznie zwane,
Iże kruków, wron stado srogie w nim zebrane;
Z końców świata zlatują nad padliną radzić,
Kraczą, za łby się wodząc, owo sobie kadzić
Poniektórzy tyż lubią, politykę męczą,
Są y tacy, co w rymiech łzy chlipią y jęczą;
Inksi farbką po szmatkach figlarnie smarują —
Są y sroczki nadobne, co gębą mędrkują,
Z gawronami spór wiedą y po planciech skaczą,
Uciechą wżdy wymyślną ród szkaradny raczą.
Największa wżdy uciecha krukom w onym grodzie:
Ano mnichom y klechom, by w rajskim ogrodzie.
Bowiem głupie tam wrony y kawki pobożne,
Poniechtóre z nich tłuste, w złote piórka możne,
Skubią tyż je do syta, grzecznie sami tyją,
Frykasy w post jadają, małmazyje piją.
Sowiżrałów tam mało, y ci puchną z głodu,
Snadnie wszytki zmykają z kraczącego grodu,
A jestli poniechtóry: pod wiechą sie śmieje
Y podły odwar z chmielu w chudą gardziel leje.
Czytelniku mój smętny! oto chcę cie bawić
Y żwierzów gród ów pełen przed oczy ci stawić.

GDZIE UMIERAĆ?

Jestli musisz umierać, to umrzyj w Krakowie:
Napiszeć „Czas“ nekrolog, y świat wnet się dowie,
Żeś żył (Bóg wie po co!), chorzał, lekko gasnął,
Miał oyca, matkę, dziatki, y żeś w „Panu zasnął“;

MIASTO POGRZEBOWE.

Łacno możesz mrzeć z głodu w „podwawelskim gro-
[dzie“.
Nikt ci chleba nie poda. Lecz za to iest w modzie
Grzebać z pompą tą samą mędrca iak y franta,
Geniusza, iak y durnia abo defraudanta.

FILISTER KRAKOWSKI.

Pustkę ano y biedę nasza za pazuchą.
Krydą żywie. Miast płacić skrobie się za ucho.
Wzdychając piwsko doi, skąd mu kałdun roście,
Mózg iełczeie y gną się tabetyczne koście.

PROFESOR AKADEMIEY KRAKOWSKIEY.

Szkołą temu hrabiowskie są antykamery.
Talentami: frak grzeczny y śkliste lakiery.
Wiedzą: uśmiech obleśny, wprawa w ruchach grzbietu,
Gdy hrabinom wygodził, wżdy godzien beretu.

KRAKOWSKI DZIENNIKARZ.

Z czemże wierę porownasz biedną pluskwę oną,
Ktorą potkasz, gdzie zaydziesz, ktorą pojdziesz stroną.
Wszędy wlezie, y głupstwem abo blagą tryśnie,
Y paskudnem nieuctwem w samą twarz ci bryźnie.

KAWIARNIA.

W kawiarni Krakowianin smrodzi swe natchnienia,
W kawiarni dusi blady rymopis swe pienia.
W kawiarni śni o pełnym żołądku y sławie.
Każdy wielki z nich wierę — przy wódce a kawie.

WIERSZORÓB.

Miasto buty szyć abo korzeńmi handlować,
Abo z lubą niewiastką na trawce kuglować,
Miasto akta z pożytkiem przepisować w grodzie,
Tenci łzawy wierszorób rznie rymy o głodzie.
A papier w samogwałcie pstrząc wodnym inkaustem,
Każe inkszym te męki łykać pełnym haustem.
A przestańże już kłamać rozpłakana wiło,
Ano psować nam żywot twą liryczną piłą!

KRAKOWSKI ŁYCZEK.

A ninie — luby bracie — opiszę ci żwierza,
Na którym gród ten stoji y z nim w wieczność zmierza.
Pyskacz owo, wół senny, o centnarze brzucha,
Ze szczerą wodą we łbie, zawżdy brudna jucha.
Pod wiechą za dnia mieszka, nie mija tyż nocą —
Bocianowie nad oknem co rok mu klekocą.
Podatki grzecznie płaci, stęka ano żyje,
Komornik wciąż mu gościem, a on zdrów y tyje.

DEWOTKA.

Na uściech wciąż ma Boga, a dyabła za skórą,
Po kościołach ugania patrząc za tonzurą.
Taż w młodszych niegdyś leciech igrała ze cnotką —
Tak nocą, jako za dnia żywiąc sprosność słodką.
Z tym wczora, dzisia z owym, jutro z inkszym zasie,
Folgowała wżdy ciałku, puchnąc czasem w pasie.
Dzisia oczkiem poluje na brzuchate klechy —
Wszak z osobą duchowną z b o ż n e ma uciechy.

RAJCE MIEJSKIE.

Lepiej wieręć, że milczy ten lub ów y drzemie,
Gdy we łbie w miestce mózgu siana dźwiga brzemie,
Niźliby de publicis płono miał gardłować
Y inkszym przysłuszniejszym humor głupstwem psować.
Na wszytkich onych rajców mózg ma zgoła pięci,
Inkszych zasie od dobrej jeno wzdyma chęci.
Przeto zacni rajcowie dalej zdrowo śpijcie
U pod wiechą drzemięcy grzecznie sobie tyjcie.

PIĘKNODUCH W MONOKLU.

O muzach jeno prawi ze szkiełkiem na oku,
Jako syty wieprz lekce spasły na obroku.
W gwiazdy z kłamną lubością wieręć zawżdy strzela,
Chocia mózg ma szynkarza, a duszę — śmierdziela.
Jeno żarcia odejmcie mu, a obaczycie,
Iże straci subtylność przy pustem korycie,
Owo łgać tyż ustanie; wżdy mu kiszek granie
Za muzykę, a rymy y malarstwo stanie.

KNOCIARZEM ABO MALIARZEM ZWAN.

Sub love wieręć jada, sub love się chowa
Y lekce płótna łokcie pędzlikami psowa.
W pelerynie wesoło kryjąc chude koście,
Geniusza zawżdy robi, syty czyli w poście.
Magnat wieręć, gdy w mieszku kilka tynfów czuje,
Dumnie barzo po wszytkich szynkowniach buszuje.
Ze stu pewnie jednemu sława wrót roztworzy,
Inkszych zasie trud płony, ano głód umorzy.

TAKISYN DEKADENT.

Oto dubiel! Włos długi, na łbie najerzony,
Rojny grzecznie w owieczki śmietnik skołtuniony.
Odzierz na nim plugawa, a co głębiej, lekce
Nie wymyłyby tego co natwardsze wiechce.
Grzebieniem, jak y mydłem takisyn pogardzi,
A łeb nasza włochaty od namędrszych hardziej.
Powieda, iże w wnątrzu choduje n a d d u c h a,
Przetoż brudny y w niebo spirytusem dmucha.

PAW NA SZLAKU.

Na stolcu z głupstwa zasiedł, pychą wielce wzdęty
A stado psów i monstrów wżdy go liże w pięty;
Od pół wieku półgębkiem zdobne słówka mruczy
Y siwą głową trzęsąc, naród fałszów uczy.

LEO.

O p e r e t k o w y m dzisia iesteś prezydentem,
Iako Achilles drzewiey, ugodzony w piętę.
Ieno że twego losu cięższe znacznie brzemię:
Bowiem on dostał w p i ę t ę, tyś uderzon w c i e m i ę.
Zmienić imię'ć się godzi, boć się nie zdarzyło,
Aby l w u szkiełko marne c i e m i ę zakrwawiło!...

WIELKI KRAKÓW.

Wielkim Krakow iuż został, trąbią w świat puzony.
Radować się mi każe dowcip przyrodzony:
Bowiem brudu przybędzie, Nowotnych, sułanów,
Owo onych ruchomych, srogich fortepianów,
Których formy nie wyśniłby nikt w świecie zdrowy.
Ano wypadł on z łyczka krakowskiego głowy,
Wygląda ow „Smok“ srogi nito kataryna,
Fortepian, toż karawan, abo gilotyna.
Przeraziełbych się w nocy; dobrze wżdy, że we dnie
Zbieraią one smoki polskie brudy przednie.
Ozdoba wieręć miasta. Nie dziw się moi bracie:
Operetkę rznie na nim Leo w magistra-
[cie. —

NA WAWELU SOWA.

A dyć macie tę sowę na starym Wawelu,
W purpury szmat odzianą, rozpartą w kasztelu,
W którym króle y Polszczy tej śpią możne serca —
Skądże ninie tam rządzi puchacz nocożerca?
Mentem wiere mu we łbie popsowała pycha,
Ano łaska wideńskich antykamer licha.
Dokąd będzie ów puchacz rządzić, by gęś szara,
Y w katedrze łupierzyć, by z za grobu mara?...

KOGUT NA BURMISTRZOWSKIM STOLCU.

Kogut w biednej Jagiełłów wylęgły uczelni,
W „latrinie“ tamże pewno, abo na patelni
Pawia z Szlaku, podleciał na burmistrza stolec,
Y lekce porósł w pierze, chocia z rodu — golec.
Zapiawszy srodze „leo“! zasiadł y jął rządzić,
Pomniki kce przestawiać, rajcom po łbach błądzić.
Wszytki wiere widamy, że we łbie się mąci
Zawżdy hetce-pętelce, gdy lokajstwem trąci.

ŁBY BARANIE.

Folgujmy ano dalej tym hrabskim baranom!
Plwali nam wżdy od wieków w gębę pokalaną —
Niek plwają wiere dalej; a my z czapką w ręce
Zginając grzecznie kolan, pędźmy żywot w męce.
Chocia mózgi ich owcze y baranie gęby,
Wilków serca wciąż mają, pazury y zęby.
Targowiczę niejedną, zdradę co dnia nową
Knują łby ich baranie pod tarczą herbową.

„STARY KRAKOW".

Dbaią wieręć o „Stary Krakow" pięknoduchy;
Ale za lat pięćdziesiąt zginą o nim słuchy:
Poirzyj ino na budę Czynciela „stylową",
Iak zółty piernik z lukrem, coś, ni to, ni owo.
I wsadzili ten placek w sam krakowski rynek,
Ozdobiwszy go ślicznie niby w wianek z szynek.
Aż się z wstrętu cofnęła Maryacka wieżyca,
Do ziem w mdłościach przysiadła Szara Kamienica.
Wżdy się dziesięć lat w oney radzie Lea wadzą
O ruderę Idziego, pyskuią a radzą.
Jeremiasze krakowskie na tey gruzow kupie,
Pięknoduchy z Abdery, wasz smak mam ia w — —
[nodze!

NOWY KRAKÓW.

Wierę coraz ładnieyszy ten grod Kraka stary:
Asfalty, elektryki, śliskie trotuary.
Jedno, mieszkać w nim mogą ptacy lub anioły,
Bo na skrzydłach przelecą te dziury y doły.

Y domy nowe, wyższe coraz y stroynieysze,
W kafelki owo zdobne, pewnie y schludnieysze.
Jedno, jestli ci życie miłe, omiiay te cuda,
Bezpiecznieyszem mieszkaniem stara, brudna buda.

KRAKOWSKA AKADEMIA SCIENCYEY WSZELKIEJ PEŁNA.

I.

ŻAKI.

Coraz są cichsze dziś krakowskie żaki —
Nie by nad księgą ślęczał jaki taki,
Lecz tenci z dziewką po planciech myszkuje,
Tamten w szpitalu od głodu choruje,
Inkszy znów chory od wódki i dziewek,
Inkszy przy stole zielonym kosterek.
A wszytcy głupi, bez młodej krwie, cisi —
Rzekłbyś na oko, że to zbożni mnisi.
Wszytcy też tchórzem podszyci i giętcy,
Możnym czapkować aże nazbyt prętcy.
Jeźli się uczą, to by paść swe brzuchy
I z pańskich stołow zbierać wczas okruchy.
Gdy zasie krzyczą, beczą jak barany
Za tym, co lepiej z innych wyszczekany.

Nic im Ojczyzna, nic publicum bonum —
Tym onanistom, matołkom, gawronom!
Jabych ich wszytkich nabieł do harmaty
I strzelił w księżyc — wierę tu przez straty.
Możeby po nich przyszło pokolenie,
Co — miast księżyca żebrać o natchnienie —
Zadało dyabłom wszytkim z pieprzem sosu,
Co chcą się w Polszcze najeść dziś bigosu.

II.

BAKAŁARZE.

Ano też onej almae matris ojce —
Gdy mowa o tych, duch cierpi ogrojce; —
Ano doctores, bacalarii wzdęte,
W togi sciencyey pod szyję zapięte,
I z katedr żakom głupstwa w schwał plotące —
Lecz familianty, więc w górę patrzące.
Tenci retoryk, ano w miechy dmucha,
A żaczek gębę rozdziawia i słucha.
I nim się rychło obejrzy oślątko,
Już ci go para zedmie na początku.
Inkszy historyk czyta leksykony,
A przeto milknie, gdy pomyli strony.
Ci z akademiey onej czynią budę,
Gdzie ninie dziewki zabijają nudę.
O pasibrzuchy! boję się wam w głowy
Nazbyt zaglądać, bo smród tam niezdrowy...

O WAWELU SŁÓW KILKORO.

(Z OKAZYI UCHWAŁY GALICYJSKIEGO SEJMU).

Radujże się ty polski pokorny narodzie,
Który, byle mieć pokój zawżdy, żywiesz w głodzie,
Radujże sie, boć stare, wawelskie grodyszcza,
Które wojak rakuski do cna dziś doniszcza,
Wnet żołdactwo opuści, a tobie przypadnie
Narodową świątnicę z łajna czyścić snadnie.
Toż mieszka twego ściskaj, a grosza ostatki
Chyżo dawaj na nowe dla ruinów szatki;
A nie żałuj, boć pan twój będzie gościł w onym
Twojej sławy grobowcu na poły zburzonym.
Więc dla cugów na stajnie, na antykamery
Dla lokajów, marszałków najwyższej maniery,
Szambelanów, (a polskich jużci tyż wyrodków),
Przyozdabiaj komnaty, przybuduj wychodków;
Jagiellonów świetlice przybieraj w hatłasy,
W sale drzewiej tronowe wtaczaj tyż kolasy
Dla tych panów a gości. Toż muzea cudne
Niech z pamiątek naświętszych polskie ręce brudne

Podłych wiere służalców chyżo obdzierają,
A ustępy, a stajnie pańskie ozdabiają.
Wszakci owo tak radzą „naświatlejsze“ głowy:
Karmazyny y posły — wżdy ród ich nie nowy;
Toż w tej Polszcze od durniów zawżdy sie roiło,
Błaznów zawżdy nie mało, ano wiele było.
Coć pamiątki, muzea, artes wyzwolone,
Coć ojczyzna, a mury krwie krzestem święcone!
Hula ninie żołdactwo na starym Wawelu:
Jutro będzie bal dworski, abo w karuzelu
Na dziedzińcu wawelskim wszytkie staną osły,
W kusych frakach, kontuszach one polskie posły.
I zatańczą na wolę szambelańskiej laski
Poloneza. Wżdy potem im z nawyższej łaski
Dozwolonem zostanie pozganianym w kupe
Pocałować raz jeden najaśniejszą — rękę...

EPITAFIA.

NA GROBIE POBOŻNISIA.

Po kościołach się włóczył, bił się w piersi, wzdychał,
Krzyżem egał, pobożnych łokciami rozpychał.
Zmarł w Panu — iak to bywa; cóż się pokazało?
Że się lichwę s t o n a s t o skromnie uprawiało.

NA GROBIE DEFRAUDANTA.

Szanowany był wielce, ceniony y znany —
(Wszakci w tynglach z hrabiami wypiyał szampany).
Kiedy umarł, w grob odszedł w z o r o y c z y z n y syna —
(Że zaś ukradł kilkakroć, czyż iego w tym wina?).

NA GROBIE WIELKIEGO POETY.

Zdechał z głodu y śpiewał (w Polszcze śpieway s o b i e!)
Kiedy umarł, pies nawet nie wył mu na grobie.
Że za życia podarte szpetnie naszał spodnie,
Będzie kiedyś pomnikiem n a g r o d z o n y godnie...

NA GROBIE FILISTRA.

Żołądkiem żył y myślał, żołądkiem się bawił,
O żołądek się troskał, by mu składnie trawił.
Umieraiąc rozpaczał, iże śmierć kostucha
Nie tyle głowy dotknie, co miłego brzucha.

NA GROBIE SWARLIWEJ ŻONY.

Nic to, że zgasła w Panu, ile iż raz przecie
Stanął iey w gębie ięzyk. Przeto wy co wiecie,
Co to wżdy babski ozor, módlcie się wraz mężem,
By snać z grobu nie wybiegł upierem lub wężem.

NA GROBIE HRABI.

Żył długo y pobożnie. Toż śmierć nie ograbi
Z zasług tylu go nigdy: wszak miał tytuł hrabi.

NA GROBIE DMOWSKIEGO.

Tu leży słynny Dmowski, Endek, frant nad franty,
Co lokayską manierą tak starł czci swey kanty,
Że właził „wsiem u góry“ bez maści a mydła;
Wszytkich głupców w tey Polszcze na kłamstwa brał
[sidła.

NA GROBIE ENDECYI.

Tu leży trup Endecyey z podniebieniem złotem
Ulicznicey, za życia dotkniętej „przymiotem".
Zakaziła nim wielu, popsuła im mentem;
Przechodniu, westchnij nad iey imieniem przeklętem.

NA GROBIE GALICYJSKIEGO URZĘDNIKA.

W Rozpłodnicach urodzon — przez żywot swoi cały
W iarzmie chadzał, karyery pieszcząc ideały.
Z kagańcem wżdy na pysku, wpoł przed rangą zgięty,
Biedny zawżdy y głupi, przed niższym nadęty.
Konaiąc rzekł synaczkom: „Synaczkowie drodzy —
Nalepsi na urzędzie są duchem ubodzy".

NA GROBIE ST. HR. TARNOWSKIEGO.

Tu leży Eksellencya, zwan Hrabią ze Szlaku,
Profesor, owo Stańczyk z Targowiczan znaku.
Nadymał się tak długo, aże pękł z tey pychy;
Dzisia cuchnie, bo wieręć duch w nim siedział lichy.

NA GROBIE „NOWIN".

Tu leży twór — na poły z psa, na poły z gada;
Przechodniu, nos zatykay, inaczey ci biada!...

NA GROBIE „CZASU".

Długo stękał staruszek, paraliżem tknięty,
Hrabioskiemi mitrami ozdobion y święty.
Cale piękną miał przeszłość: żył z ludzkiego znoju,
Pławał na „motłoch", pleśń wielbił; niech gnije w pokoju.

NA GROBIE „GŁOSU NARODU".

Nie chciały go już czytać księże gospodynie,
W kąt go rzucił tyż łyczek, choć z głupoty słynie.
„Jegomościom" był papier zbyt gładki y twardy;
Przeto skonał po cichu, tknięty trądem wzgardy.

NA GROBIE KS. STOJAŁOWSKIEGO.

Przechodniu złóż grosika na tym marnym grobie,
W którym „Lampiarz" y „Rublarz" w jedney
[śpi osobie.
Ten za żywot swóy szpetny skazan w wieczne czasy —
Piekłu lampy fundować zawżdy z cudzey kasy.

NA GROBIE KRZYKACZA.

Krzyczał: „Polszcza, lud, postęp!“ dopokąd był młody,
Ano z pustym kałdunem pozierał na gody,
Które możni zjadali. Wieręć gdy mu dano
Tłusty urząd, wraz gębę krzykliwą zatkano.
Y nie miało już nadeń służki wiernieyszego
Wstecznictwo, ździerstwo, wyzysk, co napodleyszego.

NA GROBIE WIELKIEGO.

Nic nie ździałał przez żywot, lecz milczał zawzięcie,
Przeto wieręć miał we łbie wielkie przedsięwzięcei!
Twarz miał bladą, włos wichrem ponad łysem czołem,
Przeto musiał być wielkim — — choćby ieno wołem.

NA GROBIE REFORMY WYBORCZEJ DO SEJMU GALICYJSKIEGO.

Oberwali jey szaty, włosy jey obcięli,
Potym nogi y ręce foremne odjęli,
Wydłubali jey oczy y wybili kielce;
Y ludowi rzucili, chwaląc mu ją wielce.

NA GROBIE NIEZŁOMNEGO STAŃCZYKA.

Za żywota iuż leciał odeń zapach trupi.
Miał zasługi: był zawżdy k o n s e k w e n t n i e głupi...

NA GROBIE NIBY-REYA.

Pisał figle y fraszki, z inkszych rad dworował,
Lecz naradziey pyszałkom a durniom krew psował.
Toż mu żywot upłynął nie przy pełnym żłobie,
A w dzień śmierci zawyli mu psowie na grobie!

DO CZYTELNIKA.

Moi dobry czytelniku, co czytasz te fraszki,
Któremu jeno puste smakuią igraszki,
(Bowiem we łbie masz zgoła wodę abo siano),
Pomyśl przecie, że żywot ten nie na to'ć dano,
Abyś ieno dbał o żłob, y pilnował brzucha,
Lub palcem w nosie gmerał, wszy iskał z korzucha!
Ale także, byś czasem nieco zajrzał w siebie,
Y zapomniał o brzuchu y powszednim chlebie.

WIERSZE RÓŻNE.

NA UROCZYSTOŚĆ SŁOWACKIEGO.

Motto: „Gdyby Szopen dzisiaj żył,
toby płakał, z żalu pił!"

Gdyby dzisiaj żył Słowacki,
toby chyba czoło dumne
o Beniowskich strzaskał trumnę!
Że tak w Polsce wiecznie głucho,
że tak ciemno i nabożnie,
że kroczymy wciąż ostrożnie,
jak gdybyśmy jakąś kruchą
myśl bez jutra nieśli w sobie;
że w tej Polsce wciąż jak w grobie,
jeno trumien próchna świecą,
jeno chore liście lecą,
jeno kopcą dusz kaganki;
zgasłe oczy w łez żałobie
prezesują naszym wiecom;
że prym dzierżą klechy, panki,
co przekleństwem zelżą zawsze
wszystkie czyny co najkrwawsze!
Że na myśli-błyskawice,
na młode dusze-orlice
Polska ciągle ma szkaplerze,
egzorcyzmy i „w Rzym wierzę".

Gdyby dzisiaj żył Słowacki,
toby klątwą usta skrwawił
i tę klątwę nam zostawił
jako jedyną spuściznę,
jako głaz na trumny wieko
(z której go jutro wywleką!),
jako pieczęć na zgniliznę,
jako pieczęć przestraszliwą:
że to w Polsce kruków żniwo
sprawiedliwym, mądrym faktem!
I mybyśmy takim aktem —
z tem przekleństwem, z tą pieczęcią,
zgubieni byli na wieki!
On zaś byłby nam daleki,
upiór groźny, niepojęty,
królewski duch, lecz nie święty;
ani byłby Jutra Wieszczem,
ale przerażenia dreszczem,
ale sądem, ale karą,
Arymana mściwą marą
w koronie z żmij i w purpurze,
gradowej podobną chmurze.
Ale nie z kluczem żórawi
lecącym duchem, nie wiosną,
wieścią zbawienia radosną,

duchem, co w tęcze oprawi
mękę, zawiesi błękity
nad dolą szarą, okruchy
rozpali serc, że z nich duchy
wylecą jasne i gromy,
co w słońca rozżarzą świty,
spełniwszy czynów ogromy.

Więc czy my dziś nie zawcześnie
do Jego trumny pukamy?...
Żali duch Jego boleśnie
nie zadrży, gdy już u bramy
wawelskiej ten zewłok z trumną,
z gawiedzią tą stanie tłumną,
nadęte posłyszy mowy
i spojrzy w serca i głowy,
w których się nicość kojarzy
z pychą i nudą na twarzy?...

DROGA NA SZCZYTY.

Chcesz uznanym być talentem,
pływać w sławie, jak kiełb w błocie,
uznaj prawo mocnych — świętem,
strzelaj z bicza w pysk — hołocie!

Grzbiet codziennie dobrze masuj,
aż weń giętkość sprawna spłynie,
małych deptaj, wielkim basuj,
czcij nad wszystko t ł u s t e ś w i n i e!

Nie bądź wrzący, ani mroźny,
lecz umiłuj l e t n i o ś ć równą;
gdy druh wlezie, ty bądź groźny,
gdy ci w drodze, dalej w gówno!

Sam gdy jesteś, nie na oku,
bezkarności pewien wszelkiej,
folguj chuciom swym na boku,
uwodź Mańki, Zośki, Helki!

Dbaj o dobrą zawżdy famę,
chwal twój honor i nazwisko,
nadewszystko czcij reklamę,
a na szczyt ci wszakże blisko!

Choćbyś we łbie miał młyn wodny,
fama wnet cię mędrcem zrobi;
będziesz możny, sławny, modny,
w laur twój pusty łeb ozdobi!

A gdy pomrzesz, za twą trumną
nie pobiegną twoje grzechy:
ale wdowa z miną dumną,
ale pany, łyki, klechy!

W stu dziennikach twój nekrolog
nad bezcenną załka stratą!
„Czas" cię nazwie: ideolog,
a „Reforma": „dymokratą"!...

MĘCZENNIK.

Nie śpisz biedaku?... Ciężko walczysz z snem?
Na stole świeczka, papier i atrament,
butelka z pustem beznadziejnie dnem, — —
pisz, pisz twej duszy rozbolałej lament!

Mażesz, przekreślasz, ścierasz z czoła pot, — —
żeś jest natchniony, więc k a ź ń czujesz w duszy,
coś ci tam burczy, w skroniach wali młot,
wijesz się w orgiach pratwórczej katuszy!...

Sen cię ogarnia. Nie, precz z głupców snem!
Wiem, wiem biedaku: w męce rodzisz dramat:
„Butelka z pustem beznadziejnie dnem
i nastrój sinych, bezdennych kazamat!...“

Słyszysz: głos jakiś!... Twój to zgrzyta trud?...
Nie! to za ścianą szewc, twój sąsiad, chytrze
zeluje drugi już od świtu but, —
a ty sondujesz pustki twe najskrytsze.

Mdło ci i głupio?... Świeca gaśnie już,
i dzień się blady przez twe okno wdziera;
już bramę domu otwarł czujny stróż, —
a z twego czoła świt natchnienie ściera!

Splamiony papier drwiąc monolog wiedzie,
a szewc za ścianą stuka z całych sił!
Biedaku! będziesz dziś śnił o obiedzie,
a szewc za zole będzie jadł i pił!...

ON I ONA.

BALLADA.

Było ich dwoje. Niezbyt temu dawno
na balu się spotkali.
On miał pierś dzielną w cudzy frak oprawną,
jak w pancerz z czarnej stali.
Ona zaś w jedwab chudy gors spowiła —
na kredyt gdzieś wydarty,
a pod jedwabiem — swe dziewictwo kryła
i strzęp koszulki zdartej.
On długie włosy nosił ponad czołem —
poetą był zapewne,
albo maliarzem. Ona zaś aniołem, —
więc dusze dwie pokrewne.
Na Krumłowskiego On się znał kupletach
i tańczył lansyjera,
Ona tak dawno śniła o poetach,
widziała Tetmajera!
On drżącej duszy Jej się zjawił duchem,
tak wstrząsał lwią czupryną,
miał w żyłach krew (był nie eunuchem!),
w hołupcach rwał z dziewczyną.
Wkrótce po balu zjawił się z wizytą,
tarł nosem Mamci rączki,

czyż dziw, że odtąd często jadł sowitą
wieprzową, piwo, pączki?
A dobry Tato już się cieszył chytrze,
wyprawę śnił na raty,
On zaś — kolacye coraz żarł sowitsze,
rum żłopał bez herbaty!
W antraktach zaś ściskały się ich dusze, —
(mamy w domu nie było...),
On wtedy krzyczał: „ja nie mogę, muszę!...“
więc Ona: „to tak miło...“
Powieści koniec już: o dniu okrutny! —
gdy rzecz się ujawniła,
On zwiał (lecz musiał być okropnie smutny).
a Ona — — znów tańczyła...

KRYTYK I ARTYSTA.

Spotkał krytyk artystę, łaskawie go wita,
O natchnieniu, o dziełach rozprawia i pyta.
Po ramieniu go klepiąc, udziela mu rady,
jakby tworzyć powinien; jakoby z estrady
wykłada profesorskiej.
Rzecze mu poeta:
„Raz wieprz, że wśród pomyj połknął kęs omleta,
uważał, że w ogrodzie kwieciem barwne grzędy
istnieją li dla niego; więc pognał w te pędy
między kwiaty, bezczelnie orząc brudnym ryjem;
koniec taki, że po łbie dostał tęgo kijem.
Była żaba: niepomna, że jest jeno płazem,
nadęła się, by wzlecieć...
„Spieszę; innym razem
wysłucham baśni koniec!..." rzekł krytyk i rączo
żegnał twórcę; ten zasie uśmiechał się drwiąco.

MAŁPY.

Bajka.

Wśród małp znalazła się pewnego razu
małpa przedziwnie trawiasto-zielona —
skąd? jak?... niewiadomo!
Małpy stanęły przerażone zrazu,
a potem każda odważnie zdumiona...
Wreszcie — usiadłszy po drzew szczytach stromo —
z zielonej siostry śmiechem wraz zawrzały:
„Ha! ha! zielona! patrzcież, jaka śmieszna!...
„Żeby choć żółta, bura lub czerwona!
„Ale zielona! hu! hu! zielona!
(A gdy śmiech znudził małpie zgromadzenie, zawrzały złością:)
„Wszak to głupotą! a nawet podłością
„mieć dziś zielone ciała uwłosienie.
„Wszystkie jesteśmy rude albo czarne,
„bure i szare albo popielate —
„więc to stworzenie musi być poczwarne!
„Bo nawet nie jest pręgowate —
„ale zielone jako liść lub' trawa!...
„Skąd jej ta śmiałość tak bezczelna?...
„Jej się zapewne marzy wielka sława,
„że jest jedyną pośród nas zieloną!

„O biada małpom! małpiej rasie biada!
„Wszak oczywista jest to zdrada!
„Dalejże na nią! razem! zabić!...“
I opadły małpę biedną
i zagryzły bez litości za to,
że zieloną wśród małp była jedną,
a nie rudą, szarą, popielatą!
Stąd nauka czytelniku światły:
nie bądź zielonym między czerwonymi,
ani czerwonym między zielonymi —
jeżeli nie chcesz, by cię małpy zjadły...

SOBIE — PAN.

Był Sobie pan,
co chował ducha
w czeluściach brzucha;
co dobrze spał
i dobrze jadł,
pieniążki z kas publicznych brał
(nie kradł!),
a zawżdy mawiał: „O bracia lecz
POLSKA TO WIELKA RZECZ!"

Gdy zrazy z sosem
wsuwał ogniście,
pił oczywiście
z polskim patosem,
a potem czkał;
gdy dziewkę wpół nieletnią brał,
(gust miał)
to mawiał zawżdy: „Dziewucho, lecz
POLSKA TO WIELKA RZECZ!

Gdy cudze mienie
rzucał na kartę —
(ręce otwarte,
polskie sumienie

Sobie — pan miał!)
gdy się do nitki w szulerni zgrał,
jak stał,
to mawiał rzewnie: „O nędzo! lecz
POLSKA TO WIELKA RZECZ!"

A gdy choroba
śmierci zdawała
ten kawał ciała,
gdy zbywał żłoba
ten wielki brzuch
(w nim siedział cały pański duch),
ten zuch
jeszcze raz westchnął: „Mój brzuchu, lecz
POLSKA TO WIELKA RZECZ!"

KOŁYSANKA.

Smutek, małość, głupstwo, nuda,
za pan brat z Polakiem żyją.
Wszystkie świnie w Polsce tyją,
wszystkie nędze świecą cuda.
Kości z trumien dziś wyjęte,
te królewskie, dumne, święte, —
i rąk brudem poniżone,
co relikwiarz same dzierzą.
Krzyczą, płaczą, kłamią, mierzą,
przeszłość chwalą, w przyszłość wierzą,
a po uszy w łajnach leżą.
Hej! Wyspiański! Och, Słowacki, —
wzdycha sztuki totumfacki,
wzdycha sobie Krakus chwacki —
i zajada z serem placki.

Nekrofilia i onania,
kabotynizm, grafomania,
miasto butów wyrabiana,
aktów w sądzie pisywania!

Ale że tam gdzieś się palą
młode serca, ognie — dusze
płoną w czynów zawierusze,

co nam o tem, co nam potem,
drzyj narodzie przed przewrotem!
My tam sobie leziem dołem
z pochylonem nisko czołem,
otoczeni częstokołem
myśli zbożnej i ostrożnej,
staro-polskiej, czworo-nożnej,
za Puzyną, z dobrą miną,
po obiedzie z wieprzowiną.
A na deser, a na wety
mamy brzuszka piruety,
mamy swojskie wierszoklety,
po kotletach z świń — omlety,
mamy swojskie kabarety,
piernik z lukrem, miód, oj rety!
swojskie Kine-matoł-grafy,
swojską sztukę, skrzynie, szafy,
bronowickie paragrafy.

Śpij spokojnie polski ludu!
Doczekałeś się dziś cudu:
uszyły ci demokraty
nową szatkę; bierz — na raty!
Nowa szatka choć ma latka,
choć wytarta, jak gamratka,

dobra dla cię, jakby z płatka;
przykrojona, byś bez woli,
chodził cicho w chłopskiej doli.

I tak dalej, i tak dalej,
niechaj świat się w otchłań wali,
byle dusza polska sobie
dalej spała — w każdej dobie;
byle mózgi tańcowały
poloneza trupów chwały!

SONET.

Oto wielki południa stworzył mnie poeta...
W moją formę myśl swoją przyoblekał czystą —
Niby brylant w oprawę włożony złocistą.
A żem krótki a piękny: stara ma zaleta!

Byłem wielki przez wieki jasnością przejrzystą.
Szczyciła się mną świetnej poezyi kaleta.
Dzisiaj męczy mnie pierwszy lepszy wierszokleta,
Aby wcisnąć z mozołem we mnie myśl swą mglistą.

Aż się stałem dziś wszystkim formą setnie nudną!
(Całe stosy bibuły wciąż wypełniam przecie!)
Zna mnie dzisiaj w kolebce niemal małe dziecię!

Ja, co niegdyś błyszczałem swą budową trudną,
Dzisiaj czernię sztambuchy bladych pensyonarek,
A wnet z okna wyśpiewa mnie szpak lub kanarek....

KAZIMIERZ TETMAJER: DZWONY.

Dyptyk.

...A w duszy mojej dzwonią dzwony:
Bądź Gebethnerze pochwalony!
„Krytyka“ także pochwalona,
Że drukowała moje „Dzwony!...“

Dzwoniły dawniej mężom dzwony,
Gdym ja pożądał cudzej żony,
Gdym ja pożądał córki, bony!
A dla mnie dzień był nie — stracony!

Lecz dziś: pogrzebne dzwonią dzwony,
Bo coraz rzadszy włos na głowie,
Bo kark mój byczy już znużony!...
Choć jeszczem zawsze tęgi — — w słowie!...

Lecz już mi smutno wiszą dzwony!...

Lecz dziś niech będę pochwalony
Za to, że jęczą moje dzwony!
I Chramiec także pochwalony,
Że przyjął w dom swój moje „Dzwony!“
I ten, co czytał moje dzwony,
Chociaż dzwonieniem ich znudzony —
Lecz za to właśnie pochwalony!...

Nie! Już nie będę!.. Milczcie dzwony!
Cóż — kiedy dzwonią, dzwonić będą...
Nie! O! radości! wiersz skończony!
Przecież umilkły smętne dzwony!..
Któż to powiedział?! Nowe dzwony —
Dzwony, dzwony, dzwonią dzwony!..

— — — — — — — — — — — —

I t. d.

KRAKOWIAK O REFORMIE WYBORCZEJ W GALICYJSKIM SEJMIE.

Cieknie sobie woda,
chyżo sobie cieknie,
Reforma nie zając,
więc nam nie ucieknie.

Radźmy sobie, radźmy —
Polak z mówek słynie, —
społem sobie kadźmy,
lecz ty won Rusinie!

Lecz ty won Rusinie,
lecz ty waruj chamie,
szlacheckiej głupoty
chamski krzyk nie złamie!

W kościół, dwór i karczmę
wiernie Polak wierzy,
światło, myśl i postęp
przed progiem ich leży.

Cieknie sobie woda,
chyżo sobie cieknie,
Reforma nie zając,
więc nam nie ucieknie!

NA NUTĘ KS. BAKI.

Dawniej panie
W każdym stanie
Rozum w pięści
Jak najczęściej
Bywał panie!
Dzisiaj panie
Rozstapianie
W chmurach ducha!..
Każdy dmucha
W niebo panie —
I dzieucha
I kiep lada!
Mój ty Boże!
Biada! Biada!
Ten, co może:
Z głodu zdycha!
Zasie każdy,
Co wart licha
(Tak dziś zawżdy!)
Cetnar brzucha
Z dumą nosi;
Że ma „ducha"
Wszystkim głosi!..

Karmazyna
Robi jucha
I przeklina
I rznie „ducha“ —
I dzieucha
I kiep lada! —
O! mospanie!
Biada! biada!...
Małpowanie
W każdym stanie!...

LAMENT UCIŚNIONYCH.

Mądre to i śliczne
Majątki dziedziczne:
Szatki, słuckie pasy,
Dwór, las — ananasy!

Piwniczka z tokajem,
Wioska nad ruczajem,
Dziewki we wsi śliczne,
Uciechy rozliczne!

Hej! te czasy dawne:
Wesołe i sławne! — —
A dziś — we łbie woda
Dziedzictwem, ot moda!

I hrabstwo w tytule,
A pustka w szkatule;
Popsowane zęby,
Z uszu smród i z gęby.

Lokajskie maniery,
Hrabin ciotek cztery —
Radzą ci pracować,
Z katedry tradować;

Chamom i hołocie
Wykładać o cnocie!
Lub też zostać posłem,
Nawy miasta wiosłem.

Jeszcze te socyały
Psują bieg do chwały
Potomkom hetmanów,
Kucharzów, furmanów...

Wnet nam już zostanie
W dziedzictwie — mospanie
Lupanarz i szpital
Za herb i kapitał!...

PIEŚŃ ŻAŁOSNA O MNICHU MACOCHU.

Nieszczęsny Macoch cierpiąc za ideje
W kaźni męczeństwa swego pisze dzieje,
Jak z braćmi pieścił pobożne owieczki,
Gładkie dzieweczki.

Nie chcąc, by klasztor nazbyt się bogacił,
W zgubnych dostatkach dawną sławę tracił,
Macoch klasztorne oddawał tysiączki
W nadobne rączki.

Wiedząc, że Panu niepotrzebne złoto,
Brał je z ołtarzów i skarbca z ochotą,
Wierząc, że mnicha Pan i tak w potrzebie
Posadzi w niebie.

A że pobożni do zbytku dawali,
Więc mu w tem dziele bracia pomagali
wraz z Przeorem tyli mnisi razem
Świętym obrazem.

Bliźnim nie szczędząc niebieskiego chleba
Nawet siekierą dusze słał do nieba;
By mieć tam w niebie kogoś z bliskich, brata
Wygnał ze świata.

Co zabrał Maryi, dawał Magdalenie,
I za tej duszy miłej nawrócenie
Cierpi dziś odzian aresztancką świtką
Chorobę brzydką...

Lecz biedne ciało tego męczennika
Dusza tak mocna ciągle wskróś przenika,
Że chociaż w kaźni zamknęli Macocha,
On — ciągle kocha...

NA POMNIK GRUNWALDZKI. BALLADA.

Był sobie król, był sobie król,
Co wjeżdżał w gród na wole,
Z litewskich puszcz, z litewskich pól
Przywiedzion na złą dolę;
Bo mu ten wół, bo mu ten wół
Zasłaniał lud i miasto,
A kiedy spojrzał w bok lub w dół,
Widział miast mężów — ciasto:
Bowiem rycerze z ciasta u stóp
Królewskich słabo stali,
Jeden w bezkształtny stężał słup,
A inni — szopkę grali:
Ten ździerał z ciała złudę szmat,
Dumny z swych miękkich kości,
A ów z zielonej szaty rad
Dął w róg na znak radości.
Tamten znów szyję niby gęś
Wyciągał dziwnie długą,
Inny zaś spływał z głazów gdzieś
Bezkształtną ciasta strugą.
Król zaś na woli patrzał łeb,
Na wieczną skazan mękę,
I szeptał cicho: „A to kiep!...“ —
Na mieczu kładnąc rękę. —

W WIECZÓR SYLWESTROWY.

R. 1906.

„To samo jutro, co wczoraj było"
Szepce ksiądz proboszcz Walenty Ćwik,
„Coś gdzieś się komuś pewnie przyśniło,
Że gdzieś się w świecie coś przemieniło,
Że się lud zbudził — gdzieś jakiś krzyk...

„Wszystko jak było, tak pozostanie!
Ludek się doić da jutro znów;
W Rosyi kozunie ruch stłumią — panie;
Papież papieżem, jak był, zostanie,
Nawet mu dojnych przybędzie krów...

„Niech krew o wolność leje hołota —
Jutro ją zmoże — da Bóg — znów sen;
I katolicka znów wróci cnota,
I bogobojna ludu ciemnota — —
A że tam z głodu zdycha ów, ten — —

„Że skona trzystu na szubienicy —
Tak widać chce dziś sam dobry Bóg!
Że się tam dzieci rodzą w piwnicy,
Że nimi wzbiera kał miast ulicy —
Ha — woli Bożej nie znamy dróg!

„Rok znów upłynął — i gdzież ta zmiana!
Przeminie słodko i nowy rok.
Niech wargi nasze chwalą dziś Pana,
Niech do wieczora chwalą od rana —
A znów prześpimy i nowy rok!...“

Tak sobie szeptał proboszcz Walenty,
Smakując winka rozkoszny łyk,
A że w Sylwestra bywa brzuch wzdęty,
Wszakże się z postem je w przeddzień święty —
„Więc trzeba popić“ — szeptał ksiądz Ćwik.

IDEALISTA.

Maturę zdałem prawie cudem:
Trochę protekcyą, trochę blagą,
Prawo zepchałem małym trudem,
Bo nigdy wiedzy prawej wagą —
A jednak dzisiaj jam koncepista,
Pan koncepista!...

Kolegom w biurze buty szyję,
U pana radcy jestem w łasce;
Kogo nie mogę zjeść, podryję,
A zawsze w słodkiej chodzę masce.
I będę wnet już komisarzem!
Hej! Komisarzem!...

A gdy zostanę komisarzem,
Wtedy pan radca córkę da mi!
Wtedy ja durniom tym pokażę,
Co mi ciskają w twarz ideami!
Że jestem c. k. komisarzem,
Im pokażę!

A kiedyś, gdy już radcą będę
Z kołnierzem złotym pod tą brodą,
Może to szczęście też posiędę,

Że błysnę trudów mych nagrodą:
Złotym orderkiem tu na piersi!
Hej! orderkiem!

I umrę kiedyś wielce dumny,
Że — jako Pan przykazał — żyłem!
Z orderkiem włożą mnie do trumny;
A że nikogo nie zabiłem,
Będę przez Pana w niebo wzięty —
Wraz z orderkiem!...

HENRYK HEINE Z CYKLU „ROMANCE".

KOBIETA.

Kochało się dwoje ze wszystkich sił:
Ona z ulicy, on kradł i żył.
Gdy szedł na rozbój, to rżała
Śmiechem — i w łóżku leżała.

Dni ich radosny był panem szał,
Nocą w objęcia swe on ją brał.
Gdy go policya zabrała,
Przy oknie śmiechem rżąc stała.

Pisał jej listy: niech przyjdzie doń,
Bo mu z tęsknoty uwiędnie skroń,
Bo dusza pragnie jej cała,—
Śmiejąc się okiem mrugała...

O szóstej zrana on wisiał, trup!
O siódmej zimny ukrył go grób —
Ona o ósmej już rżała
Śmiechem i winko spijała...

LIST DO SOWIZDRZAŁA

(Adolfa Neuwertha Nowaczyńskiego).

Sowizdrzale, Sowizdrzale —
spójrz, jak w Polsce dziś zuchwale
małość, podłość głowy wznoszą,
jak się głupcy dziś panoszą,
jak dziś lekkie nam kajdany,
a pod niemi stare rany
tak nam wrosły w krew i kości,
w dusze wrosły tak głęboko,
że nie widzim dziś podłości,
iż oślepło polskie oko,
jakby bielmem zasłonięte:
bagno jest dlań dziś opoką,
najnędzniejsze ma za święte,
nie rozróżnia prawd od kłamu,
ni świątyni serc — od kramu!

Sowizdrzale, Sowizdrzale —
oto Polska tonie w kale,
a ty miecz twój obosieczny,
bój rycerski, choć bezkrwawy,
sprzedałeś za byt bezpieczny
i za krótkie dni twej sławy!

Czyś zapomniał owe chwile,
kiedyś rąbał w lewo, w prawo,
za rycerza tęsknił sławą,
jeno ducha wierząc sile?...

Sowizdrzalskie kantyleny
biegły wówczas z twojej lutni,
obdzierając n i c o ś ć z ceny,
budząc śmiechem tych, co smutni
myli łzami snów edeny!

Przed twojego śmiechu sztychem
drzał filister, śpioch i łyczek;
mnich nad pełnym bladł kielichem,
franta skrycie piekł policzek!

Twoje giętkie, sprawne rózgi
obdzierały z masek twarze:
z patra patriae wraz bezmózgi
klown z lokajem wylazł w parze.

W metamorfoz takich sprawie
nieraz c z c z o n y, zbawion maski,
stał się d r a b e m, co bezprawie
czynił, pewny możnych łaski;

Mąż uczony stał się wołem,
co o pełnym marzy żłobie;
kto szedł górą, poszedł dołem —
ośmieszony — dzięki tobie.

Nieskalany — zczerniał dziwnie,
mędrzec — począł pleść naiwnie;
ów — artysta — stał się snobem,
cudzych natchnień echem, grobem.

Sowizdrzale, Sowizdrzale —
tyżeś zasnął w głupców chwale?...
Rycerskiego niegdyś ducha
za spokojność zbyłeś brzucha?...

POEMA WIESZCZE.

(Fragment z narodowo-bahatyrskiego eposu).

Polskim Długo-ryjom dedykuję.

Galicyo! gdybym w ręku miał Or-Ota lutnię
owczo-strunną, pra-polską, gęsio-romantyczną;
gdybym władał wymową, jak Rydel rozrzutnie,
miał kulturę Feldmanna aryo-estetyczną:
wyśpiewałbym tak rzewnym jękiem twoje wdzięki,
że zgłuszyłbym stu Micińskich orgiastyczne męki.

Lecz zaiste: z mej pieśni szydziłby Tetmajer,
litowałby się Wolski, Staff i mściwy Jerzy;
nie kupiłby jej pewnie Muz przyjaciel Geier,
ni Feldmann, co sam w Polsce w Słowackiego
[wierzy;
ryczałby Świat, Tygodnik, Sfinks i gramo-
[fony,
znane z tego, że śpiew ich, jak szpaków, natchniony.

Więc lirycznie mi gędzić „nie lzia", ani rzewnie,
(choć dziś nawet A. Neuwerth piernik z lukrem
[lubi),
demonicznie — nie pora, wzniośle, ani gniewnie,
a więc chyba zgryźliwie... Lecz, gdy śmiech się
[zgubi,

a gęśl beknie lirycznie, to nie moja wina,
lecz krakowskich p i ę k n o d u s z samobójcza mina...

Bowiem znane są w całej Polsce pięknodusze,
w zielonej od „nastrojów“ Michalika jamie,
zagapione w obłoki dymu, w zawierusze
tkwiące umów i jaźni, jak pajace w kramie,
„n o c n i k a m i“ też zwane, bowiem n o c ą łażą
po knajpach z sino-bladą, demoniczną twarzą...

Galicyo, też niesłusznie „G ł o d o m e r y ą“ zwana!
(dlaczego?... Próżno suszą sobie nad tem głowy
Głąbińcy i Bilińscy, których cześć usiana
orderami, charakter, jak łza, narodowy!)
Galicyo, jakżeś szczęsna dzisiaj, gdy Bataglie
dmuchają w twojej myśli politycznej żagle!

Bataglia: wzniosłe handlu i przemysłu hasło!
oto suną błyszczące kolczykami ś w i n i e
w solidarnej gromadzie za świnią opasłą —
(świnia — symbol, podstawa polskiej jaźni ninie!)
na s e j m idą jedyny, galicyjski, walny,
którym włada S t a p i ń s k i c h kierunek r e a l n y.

Dziś nie modnie być wieszczem! Lecz ja będę nowym
ś w i n i o - p i e w c ą, świńskiego wieszczem realizmu;

bo romantyzm dziś zgoła kierunkiem niezdrowym,
obcym Polsce i wrogim treści galicyzmu;
romantyk świń nie znosi (nawet z kolczykami!)
a zresztą — zasnął w Panu, więc w grób z truposzami!

(Że umarł, świadkiem Feldmann; on mu pogrzeb
[sprawił,
miał odczyt i na trumnę grudkę gliny rzucił,
w swej krytyce mu pomnik z bibuły wystawił,
jak Jeremiasz, żałośnie dwa arkusze nucił,
poczem krzyknął w ankiecie: żali Polska warta,
by jej z romantyzmu zwolił mieć bękarta?)...

Galicyo! twoją przyszłość widzę wielką, jasną:
zapłodniona przez tanie, rumuńskie warchlaki
zdobędziesz w Europie racyę stanu własną
na wszech-świńskiej opartą idei. A znaki
tej przyszłości już dzisiaj mnożą się na niebie,
ryją w tobie, za tobą i tuż koło ciebie.

Wszak w twych losach prym wiodły zawżdy długo-
[ryje,
z łacno-tucznej, żarłocznej, galicyjskiej rasy,
słynnej w świecie z karności, i że łacno tyje,
łakomej tak na sieczkę, jak i na frykasy,

sławne także z głębokiej filozofii brzucha,
wrogiej wszelkim zakusom tak zwanego „ducha".

Więc doszliśmy do sedna: do świń idologii.
Co dziś polskich świń troską?... Brzuch i brzuszne
[sprawy.
Co jest brzuchów potrzebą?... Karm i spokój błogi
niezbędny, aby strawić wsunięte potrawy.
Co jest wieprzów tęsknotą?... Spokój w dobro-
[bycie,
bezmiar błota, sen dobry, ryj w pełnem
[korycie!

KONCERT RUSKI W GALICYJSKIM SEJMIE.

„Nie żelazną mocą, męką,
nie od znoju twardą ręką,
nie kulturą, wiedzą prawą:
ale trąb i gongów wrzawą,
ale krzykiem, nożem, kijem,
praw się wreszcie też dobijem!
I jak niegdyś Żyd Jerycho
zdobył sobie trąbą lichą,
tak i wam, o Lachy, padło,
by was trąb ryczenie zjadło!
Czego zaś nie zwalczym gongiem,
to dobijem jutro —— drągiem!..."

JAK SIĘ DOCHODZI DO SŁAWY

CZYLI

HISTORYA KS. ZIMMERMANA - TECTANDRA

BALLADA.

Był sobie ksiądz, uczony mąż,
Co marzył wciąż o sławie,
Mądry jak — — ksiądz(!), sprytny jak wąż,
I dumny jako pawie.

W Poznaniu żył, w Poznaniu lśnił
Wielorakim talentem,
Z papieru sławę sobie szył,
Poił się atramentem.

W natchnienia często wpadał szał,
(Natchnienie czerpał z gazet),
Na papier beczki mętów lał, —
Poznański lew, Bajazet.

A walczył iście jako lew
O laury dla swej głowy,
Po nocach dumał, marszcząc brew,
Jak zdobyć liść bobkowy.

Tu dodać trzeba, że ksiądz ów
Miał w domu gospodynię,
Co z grubych rąk i nóg i słów
Na cały Poznań słynie.

Przy babie tej bohatyr nasz
Łagodnym był barankiem,
Jak wierny rab patrzył w jej twarz,
By w łeb nie dostać dzbankiem.

I z grubych „baby swojej“ rąk
Miast mięsa zjadał kości,
Lecz kornie znosił mnóstwo mąk,
Z chrześciańskiej li miłości...

Przy „swojej babie“ nasz ksiądz zuch
W miłosnej trwał niewoli;
Na Wenusbergu mężniał duch
W Tannhäuserowej doli...

Lecz oto raz, lecz oto raz
Ksiądz wpadł na myśl genialną:
Na papier zrzucił męki głaz,
I bitwę stoczył walną.

Powstało dzieło, żółty tom:
Pożycia z babą dzieje,
Otworzył bramy sławy dom
I Parnas swe wierzeje.

Na „babie swojej“ klecha wlazł
W krakowskiej gmach nauki,
Gdzie rządzi Głupstwo, noc i „Czas“,
Gdzie dzierżą prym nieuki.

Babie to swojej dzielny ksiądz
Zawdzięcza laur i togę,
Z babą na Parnas chytrze wlazł,
Z babą odbywszy drogę!...

DJABEŁ Z KABARETU.

P. J. A. Herbaczewskiemu autorowi farsy p. t. „Potępienie“ i kabaretowej broszury p. t. „I nie wódź nas na pokuszenie“, kawiarniano-kabaretowemu demonowi-bohaterowi, wiersz ten poświęcam. —

Wylazł djabeł z kabaretu
(djabeł-pajac oczywista),
Krzyknął, ryknął, pianą żygnął,
i pokazał — — Antychrysta!

Kawiarnianych mistrz gawronów,
Wygłodzony onanista,
Jezuicką przybrał minę,
i pokazał — — Antychrysta!

Pawelskiego T. J. wzorem
plwa w Żeromskich byle glista!
Znudził go już głód i szopka,
więc pokazał — — Antychrysta.

„Co Wyspiański, co Żeromski:
zbrodnia, szwindel, rzecz nieczysta!
Jezuicki chleb tak tłusty!...
I pokazał — — Antychrysta!

Już uzyskał w „Czasie“ brawo
(obskurantów, oczywista!):
że z warszawską jakąś nędzą
pokazali — — Antychrysta!

RZECZY PROZĄ.

JANA NEPOMUCENA PLUSKWY GŁOS.

Nie trudno pisać satyrę temu, kto z litością zdrowego byka patrzy na nędzne, chore okazy gatunku mającego w zoologii imię „Homo sapiens“: lecz nie łatwo zaśmiać się złośliwie a szczerze z własnych, owrzodziałych płuc, z własnego chorego na uwiąd mózgu i rozpaczliwie szybko zanikających łydek, łysiejącej czaszki i z własnej w dwudziestej piątej „wiośnie życia“, cuchnącej rozkładem duszy... Czy nie tak?!... Do was mówię młodości mojej przyjaciele. Do ciebie ryży Faunie, który zabijałeś niegdyś tłum twym ostrym, jak szpada, śmiechem!

Do ciebie Stasinku, schyłkowy monumencie Lombrozowskiej teoryi, grafomanie snujący krzykliwe marzenia o laurach Poëgo, a choćby, choćby tylko — nieocenionego Artura Gruszeckiego!...

I do ciebie Jasiu, — Jasiu, ty biedna karykaturo „młodzieńca“, z sercem dziecka, a duszą nieumiejącego zdobyć się na czyn — galernika!...

I do ciebie Kazinku, mieczyku kawiarniany, grajku „z Bożej łaski“, z dziecka twarzą, lecz duszą ...prostytutki!... Ciebie zaś — panie Snobski — ciebie dziedzicznie (!) zdrowego Melpomeny cór kochanka, (won-

nego jak atelier słynnego mistrza od nadgniotków i peruk: p. Figla), megalomana, estetomana, teatromana, no i — grafomana — ciebie głos mój nie dojdzie, jak nie dochodzi do twego wykwintnego (zapewno!...) pokoju ryk zabijanych pod oknem wołów, wieprzów i innych arcy-niesympatycznych ci „kanalii"!... Dlatego milczę i nie wypominam ci już panie Snobski, twoich błyszczących lakierów, rękawiczek glansowanych i brody w klin (à la Mierzwiński!) przystrzyganej — lecz zwracam się do (kapelusz z głowy!) ciebie, ty najwspanialszy, barokowy, egzotyczny kwiatku kawiarnianej flory, zręczniejszy od najzręczniejszych japońskich połykaczów ognia, noży (i Moskali!) w połykaniu (i trawieniu!) dzień w dzień trzydziestu siedmiu szmat (zwanych „gazetami") zadrukowanych w pięciu językach, ty smętny kabotynie o szlacheckiem nazwisku, a duszy — żonglera, który zamiast kościanych bil podrzucasz zręcznie w powietrze: słowa, słowa, słowa — do ciebie przyjacielu i zaufany powierniku Jego, który zasiadł niegdyś (pamiętacie?...) pośród was na tronie z adoracyi pijanych dzieci i egzaltacyi histeryczek, Jego, kapłana odprawiającego mszę na cześć Szatana i znającego tajemnicze zaklęcie, które samą Astarte sprowadzało mu do łoża na rozpustne gody, Jego: „genialnego Stacha"!...

Oto ja, Jan Nepomucen Pluskwa, syn „porządnego“ osiwiałego w urzędniczem jarzmie Ojca, który nie splamił się nigdy niezapłaceniem podatków, oplwaniem sutanny Jezuity lub złotego kołnierza szóstej, piątej itd. rangi; nie zgrzeszył nigdy tajemną, a zbrodniczą chęcią wysadzenia w powietrze kasarni, „domu Bożego“, budynku Dyrekcyi Policyi, Kryminału lub Przytułku „dla wstydzących się żebrać“; nie cofnął się nigdy przed zapłaceniem „honorowego“ długu, przed „honorowem“ załatwieniem „honorowej sprawy“, ani też nie shańbił się propagowaniem któregokolwiek z „izmów“, ja, syn takiego ojca i posiadacz duszy wydobytej gwałtem z mroków nicości w c. i k. gimnazyum i tresowanej gwałtem na wzór i podobieństwo dusz wszystkich, dusz bogobojnych, dusz poczciwych, dusz cichych i do jarzma przysposobionych, czyli dusz zgoła „nie-nagich“, lecz dusz „galicyjskich“ — a który wam zawdzięczam — o przyjaciele zarannej mej młodości — wydobycie się z zatęchłej mydlarsko-wychodkowej atmosfery mego rodzinnego miasta, na żadnej mapie Europy nieuwidocznionego, a jednak z dumą noszącego zaszczytne swe imię „Rozpłodnice“ — — który zawdzięczam wam naiwny kult dla fosforycznie błyszczącego Bóstwa naszego (Bóstwa zgrai biednych impotentów!...) — ja

ździeram wam wszystkim maskę z twarzy i zaglądam wam w zapomniane serca (i sobie, i sobie!...)!...

Ha! ha! oto widzę tam żrącą was dziś tęsknotę za szczerym, serdecznym śmiechem sytego kamienicznika; za fachowymi zdolnościami fabrykanta świec, mydła lub pomady; za spokojnem zadowoleniem byka który do syta zaspokoił wszystkie swe popędy — i za szczęsną dumą subjekta z korzennego handlu, który idzie co niedzielę za miasto z panną Rózią, szwaczką, w nowym cylindrze, w tużurku bez skazy i w glansowanych rękawiczkach!...

Hej piszcie i na siebie satyrę — „auto-satyrę" — wy współuczestnicy całonocnych, jałowych dyskursów na niezmienny temat, obnażający sobie wzajem bezwstydnie rany swoje ...kłamane! zatruwający wódką i czarną kawą swoje ciała kiłą zakażone, rozpierający się z kłamaną rozkoszą na cuchnących kanapach lupanarów! Stwórzcie auto-satyrę, „monumentum aere perennius", dla nauki i uciechy pokoleń przyszłych, bo bliską już chwila, że zapomną o was nawet — oszukani przez was kelnerzy!...

ODBUDOWANIE POLSKI.

Pod wpływem wzniosłych i pełnych namaszczenia artykułów wigilijnych, pomieszczonych w prasie galicyjskiej, a kończących się refrenem: „Pokój ludziom dobrej woli“ — wyłoniła się myśl wyzyskania tego ogólnego nastroju pokojowego i zwołania zebrania przywódców wszelkich partyj, odcieni, kierunków, barw, odmian, odcieni-odcieni, odmian-odmian i t. d.

Zebranie to odbyło się onegdaj w Krakowie w hali, umyślnie na ten cel przez magistrat zbudowanej. Celem zgromadzenia było: zastanowić się nad środkami do odbudowania ojczyzny służyć mającymi. Z góry zaleconą i przez wszystkich zaprzysiężoną była: zgoda, harmonia, nastrój poważny, trzymanie rąk przy sobie, nie ciskanie twardymi przedmiotami w głowy przeciwników, nie pisanie denuncyacyj, nie wyklinanie z ambony, nie fałszowanie wyborów itp. Przed otwarciem posiedzenia zgromadzeni zaprzysięgli sobie wieczne braterstwo; ściskają sobie mocno dłonie, obcałowują sobie wzajemnie policzki i wargi, klepią się po ramionach. Zdumienie zwłaszcza i radość powszechną wywołuje braterski uścisk kardynała Puzyny z posłem Ignacym Daszyńskim; słychać pieszczotliwe: „mój Ignasiu!“.

Namiestnik Bobrzyński oślinia posła Lea; ks. Stojałowski udziela socyalistom uprzejmie kapłańskiego błogosławieństwa. Erazm Piltz całuje Balickiego, biskup Wałęga Bojkę. W tem dzwonek, cisza — na mownicę wybiega w wdzięcznych podrygach:

Mówca I.: Moi panowie! Bracia! Polacy! Oto widzę Was tu przed sobą w zgodzie, harmonii...

Głos z tłumu: Bez frazesów!...

Mówca I. (dalej): Widzę Was tu braterskim zespolonych duchem! Widzę już, jak Polska odrodzona, wskrzeszona, uwolniona z pęt rządów zaborczych...

Hr. Tarnowski: Wszelka władza pochodzi od Boga!

Głos z tłumu: No! no! Nie zawsze!

Mówca I. (dalej): Wielka i sławna...

Inny głos z tłumu: Dajże już pokój tej Polsce! Wnioski! Wnioski!...

Mówca I.: Otóż myślę, że jako wstęp do tej podniosłej chwili powinniśmy chórem zaintonować „Z dymem pożarów"!...

Głos z tłumu: Oho! Rewolucyonista!

Zamieszanie. Na sali rozlega się śpiew: „O cześć wam panowie magnaci! Księża intonują: „Kto się

w opiekę". Staś Tarnowski śpiewa dyszkantem aryę z „Ptasznika z Tyrolu".

II. Mówca (wybiegając na mównicę): Panowie! Bracia! Zebraliśmy się tutaj — (głos jego ginie w piekielnym hałasie).

III Mówca: Towarzysze!...

Biskup Wałęga: Precz z wyklętymi! Tu nie ujeżdżalnia pod Kapucynami! Zrzucić go! (Kilka rąk wyciągniętych zrzuca go z mownicy).

IV. Mówca: Panowie! Ciszej! Ciszej!... Kamień filozoficzny! Eliksir życia, tajemnica długowieczności! Skarby Sezama, — (w zgromadzeniu milczenie i cisza) — są niczem wobec środka, który podam wam na zbawienie ojczyzny! Słuchajcie.

Głos z tłumu: Słuchać! słuchać! To ciekawe!

Inny głos: Precz z antynarodowcem!

IV. Mówca: Przestańcie być małpami! Przestańcie być pawiami! Zrzućcie z ciał waszych i z dusz dotychczasową skórę! Wyrzućcie wasze mózgi i serca na śmietnisko, bo tam one należą, a stańcie się raz ludźmi! Ludźmi! Ludźmi!... (W zgromadzeniu powstaje piekielny hałas i ogólna bójka).

R. 1903.

PAŃSTWO CAPKIEWICZOWIE NA WYSTAWIE OBRAZÓW.

P. Capkiewicz chudy, drobny; Ona wysoka, tęga, (jak zwykle nasze matrony). Trzy córki: Stasia, Dziunia i Munia — przeważnie blondynki, (jak zwykle nasze dziewice). W salach Towarzystwa Sztuk pięknych wre (jak zwykle w Krakowie). Ścisk, szum inteligentnej publiki jak w ulu. Wśród publiki zwracają uwagę artyści, przeważnie w pelerynach, z długimi włosami, o twarzach bladych i chudych. Krytyków można poznać po tajemniczym wyrazie twarzy i pełnym godności odkłonie na ukłony artystów.

Radca Capkiewicz (z katalogiem obrazów w ręce): No dzieci! uważajcie! Ja będę czytać w katalogu, a wy mi podawajcie numer każdego obrazu. Patrzcież na te obrazki! Za cóż zapłaciłem przeszło guldena! Aha! Szczygliński! Patrzże matka! To śnieg, a tamto woda...

Munia: Może Wisła?

Mama Capkiewiczowa (przykładając lornetkę do oczu): Hm! tak sobie! niczego!...

Radca: No a teraz dalej! Dzieci! to Mehoffer — witraże!...

Munia: Co to są witraże?...

Mama: Nie krzycz tak moje dziecko! To nie przyzwoicie! To pewnie to samo co miraże, takie wiesz, co to się pokazują we śnie!...

Stasia: Tak! tak! To z Tetmajera poezyi: witraże, miraże...

Mama: Patrzno ojciec na ten posąg!

Munia: Ciekawa jestem czy to z marmuru...

Mama: Nie skrobże!... Chodźcie dzieci...

Stasia: Tato, co to może być?

Radca: W katalogu stoi „Dwoistość"! Hm! To niby sąd i prokuratorya.

Mama (wskazując lornetką na inne gipsy Dunikowskiego): A to?...

Radca: „Tchnienie" i „Myśl".

Dziunia: Tato! To chyba kobieta! Co ona trzyma w ręce? Całuje coś!... Czy to dziecko?...

Mama: Dziuniu! Fe! Nie pytaj!...

Do pp. Capkiewiczów przystępuje młody, elegancki p. Adolf, koncepista ze starostwa.

Pan Adolf: Moje uszanowanie Państwu!

Mama (z najsłodszym uśmiechem): Dzień dobry Panu!

Pan Adolf: Jakże się Państwu wystawa podoba?

Dziunia, Munia, Stasia (chórem): Śliczna, prześliczna! wspaniała!...

Mama: Hm! tak! No — nie wszystko! Niektóre rzeczy — no tak, rzeczywiście!...

Radca: Uważa Pan! Ładneby to było! Ale to wszystko — hm! wie pan! przeszło już trochę tą secessyą od Wójcikiewicza. Po co to takie jaskrawe! Tyle tych farb!... A co do rzeźby, to — chyba, że ja nie rozumiem — ale te potwory!...

Dziunia: Mamusiu, a cóż to za łóżko znowu?

Munia: A jak trzeszczy!

Mama: Muniu nie mów tyle... W tem łóżku sypia polska sztuka stosowana... Który to stolarz robił?

Radca: Jakiś Cichy... No, no, panie tego, już tam ja wolę łóżka z fabryki Prokrustesa, Pinelesa i innych żydów. He, he, he...

Mama: Może pan z nami siądzie na chwilę? Umęczyłyśmy się już trochę oglądaniem tych cudów...

Pan Adolf: Państwo długo już tu bawią?

Dziunia: Dopiero...

Mama (przeszywając Dziunię surowym wzrokiem): Tak! Już dosyć długo! A to męczy — zwłaszcza, gdy ogląda się uważnie i z należytym pietyzmem!... Moje panny to o mało że tych malowideł nie zjedzą! Już wytrzymać nie mogły, gdy dowiedziały się z dzienników o otwarciu tej wystawy. Zresztą my tu bywamy prawie co niedzielę...

Radca: Bogiem a prawdą, to podoba mi się z całej tej sztuki najlepiej sztuka mięsa z sosem pomidorowym. He, he, he! (Siadają).

POJĘCIE KULTURY.

„Widzisz bracie“ — dobijał kołtun krakowski łyka lwowskiego w dyskusyi na temat, któremu z obu stołecznych miast Galicyi wyższość przyznać należy — „widzisz — to wszystko prawda: ma Lwów namiestnika, ma sejm, ma marszałka, ma Hellera, ma kolumnę Mickiewicza, ma nowy dworzec kolei i sławnego literata A. Krechowieckiego, ma Wszechpolaków i Bataglię, ale nie ma... kultury! A kultura — bracie — to grunt! To tak, jakby nasz Hawełka, a wasz Naftuła Toepfer. Albo nasz Wyspiański, a tam u was jakiś German! Albo nasze Sukiennice, a wasz pasaż Mikolasza! Albo nasze planty i sadzawka na plantach, a wasze wały hetmańskie! Tak bracie! kultura to grunt! To tak, jakbyś ty po obiedzie dłubał w zębach widelcem, a ja hebanową wykałaczką!“... Lwowski łyk milczał długo zgnębiony, aż wykrzyknął z tryumfem: „A Liga przemysłowa — to nic?... A nasz poseł Stapiński, szczery ludowiec — to nic? a miejska galerya dzieł sztuki z Rafaelem — to nic?... A operetka i Colosseum Thorna — to nic?.... A nasze Kongresy Maryańskie — to nic?!...“

AFORYZMY.

„Nie plujmy we własne gniazdo!“ czyli: niechaj naszym wrogom od plwania nam w twarz gardło wysycha!...

* * *

Nie do twarzy lwu w kagańcu! Nam jednak w kagańcu do twarzy: wszak ryczeć można i w kagańcu, a gryść — na to trzeba oprócz siły także i odwagi!

* * *

Nie wielu pośród nas dorosło do wzniosłej samotności. Mamy jednak wielu utrzymujących poważnie, że stoją ponad partyami i dlatego do żadnej należeć nie mogą. Zwą się „dzikimi“. Są to zwykle albo nędzne warchoły lub duchowe zera!

* * *

Książę ciemności nie ma gorszego wroga od — człowieka myślącego! Ile razy człowiek taki daje się poznać na świecie, dreszcz lęku przenika podziemne państwo i — galicyjskich autonomistów!

* * *

Prawdziwi przyjaciele ludzkości powinni mówić skazańcowi: „Urój sobie, żeś zasłużył, abyś był powieszony", a uczujesz się szczęśliwy, gdy cię zechcą tylko rozstrzelać; urój sobie, że zasługujesz na powieszenie na stryczku z włosienia, a śmierć od konopianego wyda ci się rozkoszą! Urój sobie, nędzarzu, żeś zasłużył, aby gryść przez całe życie kamienie lub mieć za stałe pożywienie ścierwo padliny, a spleśniały chleb wyda ci się ambrozyą!

* * *

Przyjacielu, co tęsknisz za nieskończonością: zmniejsz twe wymagania życiowe do zera, a pozyskasz nieskończoność! Wszak wedle niezmiennych praw algebry — jeden podzielone przez zero daje nieskończoność...

KŁAM!...

Chcesz być silnym pośród silnych — młodzieńcze współczesny: naucz się zręcznie kłamać. Zaledwie w życiu pierwsze poczniesz stawiać kroki: kłam!...

Kłam, miłość i posłuszeństwo ojcu twemu, który prośbą, groźbą i kijem, wszelkie twej młodzieńczej, szczerej, a zapalnej natury przykraca i karze wybuchy; kłam dziecięce poddanie i miłość twej matce, która z miłości dla ciebie głęboko kryć ci zaleca pogardę i nienawiść ku wrogom światła, ku ciemięzcom słabych i głodnych, ku bezdusznym pijawkom życia i nauki!

Kłam szacunek i posłuszeństwo nauczycielom twym w szkole, którzy świadomie fałszują, dla twego rzekomo szczęścia, dzieje ludzkości pełne łez i krwi milionów, przelanej przez łotrów w koronach i purpurze; okłamują ciebie baśniami, tak wiedzy prawdziwej obcemi, jak obcem jest twej duszy młodej kłamstwo i obłuda; a każdy objaw buntu i oburzenia, który ci na usta wybiegnie, karzą z zimną, nieubłaganą surowością! A potem — idź na srogi bój życia z zimnym uśmiechem na ustach, z pokornie zgiętym karkiem wobec silnych i wielkich, których skrycie nienawidzisz, a z przymkniętemi powiekami i dumnie podniesioną

głową przechodź obok innych słabych i bezdomnych, dla których tli się jeszcze gdzieś w głębi wystygłej twej duszy iskierka litości!

Idź i — kłam! Co stąpisz krok, niechaj z ust twych, z twych oczu biegnie w świat zręczne kłamstwo, jak zepsuty lub zmarniały owoc z wypróchniałego drzewa! Zimnym uśmiechem zasłaniaj cierpienie i radość, sytość lub tęsknotę, nienawiść i miłość konającej zwolna duszy twojej — aż nadejdzie wesoły dzień, wiosenne alleluja tryumfującego kłamstwa: dusza twoja, twe serce zginie ci pod stopą, a słońcem twej istności stanie się zimny, wyrachowany r o z u m, który do stodół twych i śpichrzy zwozić będzie samo złoto, aż do śmierci, a ż d o ś m i e r c i!...

MODLITWA MAŁEGO JÓZIA DO ŚW. MIKOŁAJA.

Mój kochany św. Mikołaju! Przynieś mi dużo, dużo cukierków, a mamie też spełnij to, o co codzień Bozię prosi, żeby ten Tata już raz przecie zmądrzał — i takiego wielkiego piernika, jak są na wystawie po cukierniach — a Tacie daj rozum i żeby przestał mnie bić, — a Marysi kucharce zamknij gębę, żeby już na babcię w kuchni nie pomstowała — a jabłek też dużo i orzechów ale nie zepsutych w środku — a siostrzyczce mojej Helence kawalera i daj jej też, żeby już raz przestała romansować z tym studentem z przeciwka, a do Marysi żeby wrócił ten zołnierz, z taką ładną szablą, bo po nim ciągle tylko płacze, a Helence kawalera takiego, żeby było wesele!

Tyż, żeby do mamy chodził codzień pan Adolf, co mi cukierki przynosi a mamę całuje i dużo tacie pożycza pieniędzy na te karty i pijaństwo u Hawełki — i pajaca też takiego, co to bije się z drugim, a babci słodką śmierć i ciepłe papucze na zimę, a Helence jedwabną suknię i wesele i kapelusz z piórem tego — tego ptaka, co to kamienie połyka... i żeby ten student z przeciwka oślepł tak, jak chce mama — bo ciągle tylko wytrzeszcza oczy na Helenkę i pisze listy

i te — te — sonety, co to tata zabiera do wychodka, albo daj mu egzamin i wesele z Helenką i żeby dużo, dużo było tortów na weselu i ładne, duże boże drzewko na narodzenie pana Boga — i żeby ten żołnierz z wąsami od Marysi bawił się ze mną. Amen.

Dobranoc Ci św. Mikołaju.

k. 1771/51

SPIS RZECZY.

str.

FIGLE Y FRASZKI.

Do tych, co czyść będą . . 3
Z Niby-Rejowską kolędą . . 5
Wiek złoty 7
O nowej cnocie 8
O dziwach wszelakich, a zgoła na ziemi tey niewidzianych . 9
Sposób na biedę 11
Nowa wielkość 11
Nadludzie 11
Mędrce 12
O zmarłych a żywych . . . 12
Narodowa zabawa 12
Dawaj! 12
Prawda 13
Galicyański starosta 13
La pompe funèbre 13
Człek dumny 14
Modny kapelusz 14
Ludzka dola 14
Farysy 15
Podpory społeczności . . . 15
W. Feldmanowi 16
Solskiemu 16
Real-Polityk 17
Neopanslawista 17
Człek porządny 17
Galicyańskie grafiątko . . . 18
Do broni 19

str.

O klechach brzuchatych a niesytych słów kilkoro . . . 20
Na wypadki jasnogórskie . . 21
Paderewskiemu 22
Na obchód grunwaldzki . . . 23
Galicyjski sejm 24
Rozmyślanie żałosne z okazyiey dnia zadusznego 25

KRAKÓW.

Kraków 29
Gdzie umierać? 30
Miasto pogrzebowe 30
Filister krakowski 30
Profesor akademiey krakowskiej 31
Krakowski dziennikarz . . . 31
Kawiarnia 31
Wierszorób 32
Krakowski łyczek 32
Dewotka 33
Rajce miejskie 33
Pięknoduch w monoklu . . . 34
Knociarzem albo maliarzem zwan 34
Takisyn dekadent 35
Paw na Szlaku 35
Leo 35
Wielki Kraków 36
Na Wawelu sowa 36
Kogut na burmistrzowskim stolcu 37

str.

Łby baranie 37
„Stary Kraków" 38
Nowy Kraków 38
Krakowska akademia
I. Żaki 39
II. Bakałarze 41
O Wawelu słów kilkoro . . 42

EPITAFIA.

Na grobie pobożnisia . . . 47
Na grobie defraudanta . . . 47
Na grobie wielkiego poety . . 47
Na grobie filistra 48
Na grobie swarliwej żony . . 48
Na grobie hrabi 48
Na grobie Dmowskiego . . . 48
Na grobie Endecyi 49
Na grobie galicyjskiego urzędnika 49
Na grobie St. hr. Tarnowskiego 49
Na grobie „Nowin" 50
Na grobie „Czasu" 50
Na grobie „Głosu narodu" . 50
Na grobie ks. Stojałowskiego . 60
Na grobie krzykacza 51
Na grobie wielkiego 51
Na grobie reformy wyborczej do sejmu galicyjskiego . . . 51
Na grobie niezłomnego stańczyka 52
Na grobie Niby-Reya . . . 52
Do czytelnika 52

WIERSZE RÓŻNE.

Na uroczystość Słowackiego . 55
Droga na szczyty 58

str.

Męczennik 60
On i ona 62
Krytyk i artysta 64
Małpy 65
Sobie-pan 67
Kołysanka 69
Sonet 72
Kazimierz Tetmajer: Dzwony . 73
Krakowiak o reformie wyborczej w galicyjskim sejmie . . . 75
Na nutę ks. Baki 76
Lament uciśnionych 78
Pieśń żałosna o mnichu Macochu 80
Na pomnik grunwaldzki . . . 82
Wieczór sylwestrowy 83
Idealista 85
Henryk Heine z cyklu „Romance": Kobieta 87
List do Sowizdrzała 88
Poema wieszcze 91
Koncert ruski w sejmie . . . 95
Jak się dochodzi do sławy . . 96
Djabeł z kabaretu 99

RZECZY PROZĄ.

Jana Nepom. Pluskwy głos . 103
Odbudowanie Polski 107
Państwo Capkiewiczowie na wystawie obrazów 110
Pojęcie kultury 114
Aforyzmy 115
Kłam 117
Modlitwa małego Józia do św. Mikołaja 119